



TESTER

Nazywał się Galax i, poza szumną nazwą oraz grubą czapą nowego ceramitu, nie reprezentował sobą czegoś niezwykłego.

Mimo to, kiedy wysiedli na końcowej stacji i poza jednorodnymi bryłami kosmodromu zobaczyli górną część kosmolotu, przez ich nieliczną grupę przebiegła empatyczna niepokoju: ktoś zakasłał, ktoś głośno gwizdnął, parę osób niepokojnie roześmiało się.

Wysoka, posągowa istota będąca ich przewodnikiem, ostrzegawczo uniosła dłoń do góry, mówiąc: – Proszę nie wstrzymywać marszu... idziemy! Zaczęto już odliczanie!

Bez wahania wszyscy skierowali się do wyjścia. Jedna z kobiet, o włosach koloru złota, powiedziała głośno:

– To nieuczciwe. Najpierw kazano nam czekać miesiącami, a teraz pędzą nas jak stado na rzeź.

– Prosimy zachować ciszę i spokój! – tym razem był to głos drugiej istoty zamykającej pochod i ubezpieczającej tyły.

Alberski obejrzał się przez ramię najpierw na kobietę, a potem na strażnika. Niski, brodaty mężczyzna idący obok niego zrobił to samo, mówiąc:

– Ta kobieta ma rację. Nasi opiekunowie mogli by zwolnić tempo... – westchnął głęboko i z trudem.

– Astma? – spytał Alberski, widząc wysiłek na twarzy towarzysza z szeregu.

– Wypadek w laboratorium – brodacz, mimo że szli wolno, wyraźnie zostawał z tyłu.

– Pozwolisz? – Alberski objął go w pól i prawie niosąc dołączył do grupy, popędzany monotonnym „prosimy nie opóźniać”, wypowiedzianym kilkakrotnie przez strażnika.

– W tych kombinezonach i hełmach wyglądają jak roboty – brodacz obejrzał się do tyłu.

– Masz rację, to są androidy – Alberski uśmiechnął się – zawsze żegnają i zawsze witają. Są sterylnie czyste i odporne na działanie obcych wirusów.

Na zewnątrz stacji czekał mikrobus. Wsiadli, a straż zamknęła za nimi drzwi. Zostali sami.

– I co dalej? – spytał najstarszy z grupy, siwy i zgarbiony mężczyzna w luźnym kimonie.

– Odlatujmy nim się rozmyśl! – ktoś krzyknął i wszyscy parsknęli śmiechem.

Alberski oparty o kierownicę uniosł do góry dłoń, mówiąc: – Proszę zajmować miejsca. Mam pięć minut na zapoznanie was z warunkami lotu.

Zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na niego z uwagą.

– Jestem licencjonowanym pilotem – powiedział, taksując wzrokiem obce mu twarze – i moim zadaniem jest ruszyć to pudło – wskazał sylwetkę Galaxa – oraz cało i zdrowo wyprowadzić go poza Układ Słoneczny. Potrwa to sześć dni i przez ten czas tylko ja mam prawo do pytań i odpowiedzi. Innymi słowy mówiąc – moje polecenie lub prośba będzie rozkazem. Dla was ten czas ma być okresem wzajemnego poznania się, ale nie tylko. Złożono, że stworzycie załogę. Między wami są ludzie o wszystkich potrzebnych na statku specjalnościach. Tylko od was zależy czy w ciągu tych sześciu dni ukształtujecie się w zespół zdolny podjąć trudnemu zadaniu, jakim jest lot w nieznanym. To jest eksperyment, a ja będę, nie ma co ukrywać, waszym testerem. Oczywiście będąc ochotnikami macie prawo wycofać się. Ale teraz, bo kiedy wystartujemy, kiedy będziemy w górze nie będzie odwrotu.

Zamilkł, dając im szansę przemyślenia tego co powiedział. Kiedy nikt nawet nie westchnął, uśmiechnął się. To było do przewi-

dzenia. Widział to w ich oczach. Upór, determinacja, pewność siebie...

– Rozumiem, że możemy ruszać – spojrział na zegarek – za sześć dni minie orbitę Plutona. Jeżeli nie jesteście samobójcami to osobiście radzę wysiąść teraz, bo ja oddam wam stery za niecały tydzień i wrócę na Ziemię i nie będzie nikogo kto powie wam, że jesteście za mało przygotowani lub pomoże w walce o przetrwanie. Wierzcie mi. Kosmos to nie autostrada...

Wierzyli, ale nikt nie wstał, ani nie drgnął nawet. Patrzyli tylko. Dziwnie. Z rozbawieniem.

Rozkładając ręce w niemym geście rezygnacji, odwrócił się i usiadł za kierownicą. Włączając silnik i kierując pojazd w stronę odległego kosmodromu pomyślał „...a może by tak raz jeszcze, wyrwać się...”

Ale wiedział, że tego nie zrobi. Odkąd wrócił z Proximy drażył go strach. Bał się, bo wiedział, że kiedy powtórnie ruszy na szlak, nie wróci już tutaj. Piloci nazywali to bakcylem wolności. Kto go miał, ten był dla Ziemi stracony.

Wystartowali zgodnie z programem i kiedy na monitorach błysnął zielenią napis „KANAL 1019 (AUTOPILOT/LOT/EX/001) STANDART” Alberski z ulgą odłożył naufon na półkę. „Test testem – pomyślał – ale kto wie co istotnie kryje się poza tym całym eksperymentem”.

Nie martwił się o ludzi, ale o statek. Bądź co bądź Galax należał do starszej generacji i mimo remontu i zmian konstrukcyjnych nie był na pewno jednostką zdolną do tak dalekiej podróży, jak lot poza Układ Słoneczny. Szczególnie dlatego, że ostateczny cel nie został ustalony.

– Kapitanie Alberski! – głos pełen niepokoju. Na ekranie pojawiła się znajoma twarz. – Wszystkie grodzie są zablokowane. Nie mogę dostać się do przedziału silnikowego – szybko wypowiedziane zdania zakończyło chrapliwe pokasywanie.

– Przepraszam, ale nie jestem kapitanem tylko pilotem, to raz, a dwa – to zgodnie z instrukcją wszystko jest tutaj pod kluczem: magazyny, centrum astronawigacji, komputery, hibernatory i tak dalej... tylko ja, przez

sześć dni, będę decydował o waszych poczynaniach. A szczególnie o możliwości dostępu do bardziej skomplikowanych zadań i urządzeń – Alberski uśmiechnął się do brodacza.

Ten opanował już atak duszności i wzdychając ciężko powiedział:

– Tak sobie pomyślałem, ale wolałem się upewnić – powtórnie westchnął. – Jestem inżynierem – odruchowo kiedy jest się na statku...

– Rozumiem! – Alberski nacisnął pomarańczowy kontakt w konsoli komputera – zdjąłem blokadę. Możesz wejść. Przy okazji będę wdzięczny za dokładny raport o stanie technicznym reaktorów.

– Dziękuję – brodacz odwzajemnił uśmiech pilota – nazywam się Piotr Hawel, mów mi po imieniu, tak będzie prościej.

– Życzę udanej inspekcji, Piotrze – Alberski odczekał aż ekran videofonu zaciemnieje, po czym zwrócił się do komputera:

– Proszę dane personalne Piotra Hawela.

– Nie figuruje w rejestrze załogi – padła natychmiastowa odpowiedź.

Spodziewał się tego. Mógł oczywiście na podstawie rysopisu odszukać Piotra w archiwum personalnym, ale nie interesowało go w tej chwili, kto kim jest naprawdę. Miał nie ingerować i czuwać jedynie nad tym, by lot przebiegał bez zakłóceń i zgodnie z programem testowym.

W ciągu następnych godzin miał jeszcze kilka rozmów video z paroma osobami, z których tylko jedna nie starała się ukryć prawdy o sobie.

Był to starszy już wiekiem pilot o twarzy pooranej zmarszczkami, noszący na klapie bluzy odznakę Zasłużonego dla Ratownictwa. Pytał, czy może pełnić dyżury jako dubler. Alberski wyraził zgodę, a w dowód zaufania polecił zmiennikowi dokonać drobnej korekty kursu. Była to pozorna poprawka nie zmieniająca w niczym celu podróży, jako że jedynym obecnym celem, była północna ćwiartka między Neptunem a Plutonem, czyli parę milionów kilometrów pustki.

Dla Alberskiego dni płynęły szybko, wyznaczone stałymi godzinami raportów dla Instytutu, programowaniem zadań dla kompute-

ra oraz baczny obserwacją wnętrza Galaxa, i jego tworzącej się załogi.

Było zdumiewające jak ta nieliczna garstka, raptem czterdzieści cztery osoby w statku mogącym pomieścić parę tysięcy, trzymała się razem nie starając się rozbić na wzajemnie zwalczające się ugrupowania.

W ciągu trzech dni wiadomo już było, kto co będzie robił, jakie reprezentuje wartości i czego należy się po nim spodziewać.

Alberski ze zdumieniem stwierdził, że jedynie trzy osoby nie przybrały fikcyjnych nazwisk. Co ciekawsze, po weryfikacji z kartoteką personalną, okazało się, że każdy starał się o zajęcie i stanowisko zupełnie różne od tego jakie posiadał na Ziemi. Wyglądało to tak, jakby ludziom tym pozwolono urodzić się powtórnie, nie odbierając im jednak niczego z bagażu doświadczeń lat minionych.

Czwartego dnia, rano wg. czasu pokładowego, Alberskiego obudził sygnał alarmu. Poderwał się, zaspany, przerażony, obłany potem. Zaraz jednak przyszła refleksja i wspomnienie grafiku jaki dano mu do wglądu.

– Przeklęte testy! – warknął i przecierając oczy położył się na łóżku. Syrena wyla nadal potężnie.

Wszystkie możliwe do pobudzenia sygnały były w pełnym ruchu. Widać, a raczej słychać było, że tam, w głębi statku, za wszelką cenę próbowano dobrać się do niego.

– Proszę o uwagę – powiedział Alberski do mikrofonu najbardziej ponurym głosem, na jaki tylko było go stać (oczywiście nie włączył video, jedynie jego głos docierał do ludzi uwięzionych na trzech dolnych pokładach).

– Nastąpiła awaria... przedział silnikowy... trafienie obcego ciała... przeciek... dekompresja w przedziale szóstym, należy natychmiast zlokalizować miejsca przebicia... – czytał z kartki starając się nadać swojemu głosowi możliwie poważne, a nawet złowieszcze brzmienie.

– Otwieram wszystkie grodzie i luki oraz windy i dźwigi. Udostępniam Galaxa dla ekip remontowych. Proszę o możliwie szybkie raporty za pośrednictwem interfoni. Część urządzeń w kabinie dowodzenia nie działa. Proszę o natychmiastowe włączenie dubletów w prze-

dziale ósmym, oraz stworzenie ekipy zabezpieczającej ewakuację w promie ratunkowym – bezgłośnie ziewając odłożył kartkę i obrócił się twarzą do ściany.

– Minie co najmniej godzina nim się uporają z paniką i wezmą za solidną robotę – pomyślał zapadając w drzemkę. Jednak już po dziesięciu minutach rozdzwonił się wideofon. Alberski wcisnął guzik i sennie wymamrotał w mikrofon „Słucham”.

– Przebicie zlokalizowane, dublety działają, dekompresja usunięta – głos meldującego należał niewątpliwie do Piotra Hawela.

– Słucham?! – Alberski usiadł na łóżku i w ostatniej chwili powstrzymał się od włączenia ekranu wideo.

– Melduję, że sytuacja opanowana...

– Dziękuję! – wyłączył się i, w bezmiernej ciszy i zdumieniu, zaczął spacerować po kabinie.

„Test – rozmyślał – zakładał różne warianty, ale tego, by w tak krótkim czasie tyle zrobiono, test nie przewidywał”.

– No, ale w takim razie poprzeczka idzie wyżej – szepnął, przeglądając się w lustrze i uśmiechając się, w swoim mniemaniu, dość santicznie.

Ekran łączności Ziemia-Galax rozjaśnił się. Oczekiwano jego raportu. Złożył go niezbyt przepisowo, ubrany jedynie w neurofon i płaszcz kąpielowy. Będąc pod wrażeniem wyczynu załogi i mając jako tester prawo do własnych wniosków i zmiany grafiku testowego, powiedział:

– Uważam, że to nie jest uczciwe, stawianie dojrzałych ludzi w stresowych sytuacjach bez wyraźnej potrzeby.

Ziemia swoim zwyczajem milczała. Dodał więc jeszcze, że o ile ci biedacy tutaj istotnie mają wyruszyć poza Układ Słoneczny, to na pewno nie powinni być traktowani jak króliki doświadczalne, a jeżeli nawet są ochotnikami i z własnej woli gotowi są na wszystko, to należy im utrudniać zadania.

Mimo, że dzięki łączności ultradźwiękowej cała rozmowa przypominała normalne video, jednak Ziemia lubiła od czasu do czasu urywać transmisję, zwalając winę na zawodność anten i emiterów. Robiono to zwykle wtedy, gdy

ludzie ze Sztabu potrzebowali czasu na konsultację lub pospieszną naradę.

Alberski był trochę zdumiony, że wysłuchano go spokojnie, a odpowiedź była jednoznaczna i natychmiastowa.

– O ile to możliwe, prosimy modyfikować testy w ramach tolerancji, tak jednak, by załoga nie odczuła fałszu sytuacyjnego. Przypominamy, że całe zadanie jest ściśle tajne.

– Tak jest! – powiedział, z ulgą witając sygnał końcowy transmisji.

Dopiero teraz, poczuł się nieswojo: zdumiony, zaniepokojony, nawet zły. Po raz pierwszy odważył się kwestionować celowość testów, po raz pierwszy Ziemia dała mu wolną rękę w wyborze ćwiczeń.

Miał niejasne wrażenie, że jego rola testera nie jest bynajmniej tak prosta i jednoznaczna, jak mu to powiedziano przed odlotem.

Dylemat?! Nie, prawdziwy pilot nie ma oporów, nie ma skrupułów. Test to test. Przez następne dwa dni na pokładzie Galaxa wybuchł pożar, cztery osoby, najmłodsze i najzdrowsze fizycznie, uległy tajemniczemu (sic!) zatruciu, zaś drobne, ale dokuczliwe awarie sprzętu, zaczęły mnożyć się w niespotykanej ilości. Ukoronowaniem była anihilacja zewnętrznego generatora antymaterii. Kiedy wreszcie sądzono, że złe fatum minęło bezpowrotnie, Główny Komputer zdradziecko zablokował swoje obwody chłodzące i prawie się ugotował, recytując, w trakcie akcji ratowniczej, z zacięciem i emfazą, luźne fragmenty instrukcji lotów wewnątrzukładowych.

Przez ten cały czas Alberski, odizolowany i zamknięty w swoim sektorze, śledził uważnie wszystkie poczynania załogi.

Niezawodny system videofoni wspomagany tajnym układem kamer infra- i ultrawizyjnych pozwalał mu sięgać wszędzie i być wszędzie bez konieczności osobistego kontaktu z ludźmi. Na swój sposób, twardy i zahartowany, z podziwem obserwował, jak w warunkach niejako bojowych, wśród kłębowiska kabli i rur, przewodów i pracujących automatów, poruszają się trzy kobiety, fachowo i zdecydowanie odcinające gaśnicami drogę, zachłanym płomieniem, próbującym sięgnąć zbiorników z kulturami zielenic i brunatnic. W tym

samym czasie trzej mężczyźni wśród szalejącego ognia, systematycznie lokalizują jego źródło i mimo grożącego wybuchem przecieku, nakładają plaster na uszkodzone przewody olejowe. To była jedna z licznych awarii i jedna z przemyślanych i szybkich akcji, ekipy pogotowia awaryjnego uformowanego tuż po pałającym pierwszym alarmie.

Kiedy wywołał zatrucie u wybranych osób, niepewny przebiegu zdarzeń, czuwał pół nocy pospołu z ochotnikiem lekarzem, który mimo, że sam zdrowy, zdecydował się zamknąć w izolatce razem z chorymi i przez sześć godzin, wspomagany z zewnątrz przez załogę i komputer, szukał właściwego antidotum mogącego zniwelować działanie nieznanej toksyny.

Lekarz ten, na Ziemi nieznanym nikomu biocybernetyk, okazał fenomenalną wiedzę i intuicję, nie tylko jako diagnosta, ale i jako farmakolog.

Kiedy o szóstej rano Alberski pewien już, że nie musi interweniować osobiście, z westchnieniem ulgi układał kolejny raport, Ziemia dość nieoczekiwanie przypomniła mu o teście końcowym, czyli o uszkodzeniu komputera.

Półprzytomny ze zmęczenia, długo wahał się przed naciśnięciem klawisza wyzwającego zakodowane w biokryształach polecenie samozagłady.

Robiąc to, sądził, że tym razem załoga się podda.

Wytrzymali. Nawet specjalnie nie starali się szukać u niego pomocy. Ktoś powinien był to przewidzieć. Było dla nich czymś oczywistym, że jako pilot niewiele umie i nie może im pomóc, a jako dowódca może być tylko przeszkodą. Dopiero kiedy umilkł bełkotliwy głos komputera, a jeden z cybernetyków, klnąc partactwo ziemskich techników, rozbierał uszkodzone kasety, zameldowano mu o: – ...drobnej przerwie w pracy autopilota, wynikłej z braku dozoru... – i ani słowa o awarii komputera. Pewno bali się, że po tej epidemii „uszkodzeń” może stracić samokontrolę i wpadnie w panikę. Mimowolnie podsłuchiwał w tym duchu prowadzoną rozmowę i po raz któryś z rzędu poczuł się nieswojo. Oni bali się o niego! Świetne!

Niepewny swych obliczeń, trzykrotnie sprawdzał wyniki chcąc znaleźć ślad błędu w opracowaniu trajektorii, będącej wynikiem współpracy astronawigatora i koordynatora lotu. Mimo, że musiano dokonać korekty lotu, Galax szedł jak po sznurku. I wszystko to ręcznie, z użyciem małego kalkulatora, ołówka i kartki papieru. Pilotem był dubler, ten z odznaką Zasłużonego dla Ratownictwa. Manewry jakie robił, budziły w Alberskim zazdrość. To była ta nie istniejąca już sztuka pilotażu z czasów, kiedy do zasady należało, by pilot umiał więcej niż komputer.

Nastał wreszcie dzień szósty i należało rozstać się z Intergalaxem. Alberski siedząc przed monitorem po raz ostatni składał raport. Za pięć godzin miał wsiąść do jednego z pojazdów łącznikowych i ruszyć w stronę Zewnętrznej Stacji, będącej ostatnią siedzibą człowieka w pobliżu Plutona. Miał odejść, za sobą zostawiając statek i załogę. Wspaniałą załogę! Po raz ostatni z pokładu Intergalaxa połączył się z Ziemią, by zdać raport.

– Czy istotnie są tak dobrzy? – spytała Ziemia.

– Tak jest. Nieprawdopodobne, ale prawdziwe – odparł krótko.

– W takim razie – kontynuowała Ziemia – zostaną skierowani poza Układ Słoneczny. Cel obiorą sami... za pięć godzin. Tylko ich dobra wola i chęć przetrwania pozwala mieć nadzieję, że Intergalax dotrze tam, gdzie będą chcieli by dotarł.

– On nie dotrze nawet do najbliższej gwiazdy – zaoponował Alberski – to dobry statek, ale w obrębie Układu, a wiemy co za nim czeka na słabe pojazdy. Kosztowała nas ta wiedza kilkanaście lat niepewności, kilkaset statków zagubionych lub zniszczonych oraz tyleż tysięcy doborowych astronautów zamienionych w kaleki, neurotyków lub numery ewidencyjne w Księżde Poległych.

– Ale ty jesteś tym jednym z nielicznych, który dotarł do gwiazd i pierwszym, który zdobył Proximę – odparła Ziemia.

– To prawda, ale miałem specjalny statek. Mocniejsze silniki.

Zapadło milczenie, przerwane nagle głosem C.A. z bazy na Jowisz.

– Na twoim kursie, za cztery i pół godziny znajdzie się Gwiazdolat typu Mezon. To nowa generacja tuż po lotach doświadczalnych. Jest wystarczająco duży by przyjąć na pokład czterdzieści pięć osób. Dajemy ten pojazd załodze Galaxa. Możesz im to powiedzieć już teraz!

Ekran się ściemniał. Został sam z własnymi myślami i tą zaskakującą wiadomością. Długo, bardzo długo siedział oparty ramionami o konsolę komputera, niewidzącym wzrokiem śledząc czas miniony...

...Proxima. Puste planety, puste światy. Ale przecież są jeszcze inne gwiazdy, bliżej lub dalej. Od kiedy udowodniono, że poza prędkością światła czas biologiczny jest identyczny na Ziemi i w Kosmosie, przestano obawiać się Gwiazd. Tacy piloci jak on, ci którzy wrócili cało i zdrowo nieraz budzili się nocą i patrząc w niebo wysłane gwiezdnyimi cekinami, budowali złudne zamki marzeń na Mlecznej Drodze, czekając na tę właśnie chwilę, kiedy inżynierowie zrealizują ich marzenia o gwiazdolatach szybszych i mocniejszych niż tajemnicze promieniowanie Zetha, jakie emanuje z Centrum Galaktyki, niszczące słabych i bezbronnych.

A teraz, kiedy pierwszy z Mezonów jest gotów do lotu, okazuje się, że jego załoga to ludzie z przypadku. Sfrustrowani i wyeliminowani na Ziemi. Szukający siebie w Kosmosie. Kamikadze nocy. Ochotnicy nie rozumiejący, czym może być świadomość wolności bez granic, doznań, bez punktów odniesienia i trwożliwej, czulej radości, że być może już na następnej planecie można spotkać Kogoś. O tak, właśnie nie Coś a Kogoś: Inteligencję, Rozum, Myśl.

Wstał ciężko i z ulgą odblokował drzwi swego dobrowolnego więzienia.

– Osobiste spotkanie w Kajucie Głównej – powiedział, włączając żółty sygnał pogotowia awaryjnego.

Czekali na niego w milczeniu. Bardzo zmęczeni, ale zdyscyplinowani i karni. Ubrani jednakowo w szare kombinezony, z przepisowymi aparatami tlenowymi i hełmami na ramieniu.

– Bardzo dobrze – szepnął i wyłączył żółty sygnał pogotowia awaryjnego.

– Za cztery godziny z minutami przesiadka – zawiesił głos i uśmiechnął się wesoło – Ziemia doszła do wniosku, że tym sypiącym się gruchotem można trafić jedynie na łamy prasy i video w rubryce „Polegli dla Ludzkości”. Innymi słowy, moi drodzy, dano wam szansę w postaci Mezona. Zupełnie nowy statek. Do centrum Galaktyki tym nie doleciecie, ale kawałek Kosmosu można wpisać do pamiętnika. Liczę, że zobaczymy się jeszcze w przyszłości... – opuścił głowę i bez słowa pożegnania wyszedł z kabiny.

Po czterech godzinach z minutami przyszli po niego. Leżał na łóżku z kocem naciągniętym na głowę.

– Panie kapitanie, cumujemy! – głos należał do Piotra.

– Guzik mnie to obchodzi – powiedział, obracając się do ściany.

– Panie kapitanie, doszliśmy do wniosku, że bez pana pomocy niewiele zdziałamy. Ziemia proponuje by pan jeszcze kilka dni dowodził całością, wszyscy są za takim rozwiązaniem nowych problemów. Nowy statek, nowe wyposażenie, silniki...

– Powiedzmy! – Alberski usiadł gwałtownie i ze złością rozprostował ramiona tak, jakby pragnął objąć swoich gości. – Tak jak tu wszyscy stoicie – krzyknął – jesteście jedną wielką rodziną cwanych, jajogłowych ludziów, którzy biednego, prostego pilota próbują zrobić w coś, w co on nie da się zrobić. Czytałem to i owo w kartotece personalnej. Między wami nie ma nikogo, kto nie zrobił bodaj trzech specjalizacji. Sama superinteligentna i oblatana śmietanka. Nie mówicie o tym między sobą, bo to temat tabu. Wasza sprawa. Ale po jakie licha ja, zwykły pilot, facet od czarnej roboty, człowiek bez serca i sumienia, posłuszny Ziemi jak pies swojemu panu, mam wam matkować?! W życiu nie widziałem ludzi mniej nadających się do prowadzenia za rączkę niż wy, moja ty kochana załogo. Życzę wam powodzenia. Cześć!

Wyszli bez słowa. Zostawili go samego w cichym i jakby uśpionym Galaxie. Wstał z leżanki, rozprężył ciało, zrobił kilka głębokich wdechów i wydechów.

– Teraz się przeprowadzają – pomyślał – i pewno, jak nic, za kilka dni ruszą z miejsca. Dokądś... mają przecież wolną drogę...

Stojąc przy monitorze kontaktu Ziemia-Galax machinalnie nacisnął starter.

– Kłopoty? – lakonicznie spytał dyżurny spiker.

– Żadnych kłopotów – z westchnieniem usiadł w fotelu. – Pragnę dowiedzieć się na jakiej zasadzie funkcjonował dobór ochotników i dlaczego to ja, a nie ktoś inny reżyserował to przedstawienie w Galaxie?

„...zakłócenia emitera, prosimy czekać...” – obraz zafalował i ekran ściemniał.

– A niech was... – wyłączył monitor.

Wstał. Przez chwilę patrzył na zdjęcie rodzinnego domu, wiszące nad leżanką i będące czymś w rodzaju maskotki. Uśmiechnął się do swoich myśli. Zdejmując zdjęcie, powiedział sam do siebie: – Ostatecznie... to tylko pomoc... chociaż wiadomo o co idzie ta gra, już wiadomo od dawna!

Idąc korytarzem natknął się na Piotra. Brodacz wydawał się czekać na niego.

– Cieszymy się – powiedział bezosobowym tonem.

– Niby dlaczego cieszyacie się? – zajrzał nieufnie w twarz brodaczowi.

– Kapitanie, mimo że pan nic nie mówił, my wiemy... ktoś kto zdobył Proximę powinien nadal...

– Bzdura! Niczego nie powinienem!

Szli pustym korytarzem i Alberski, wskazując na emanującą ciszą i pustynną martwością olbrzymią salę przed nimi, powiedział:

– Każda podróż jest jak ta sala, bo wiemy, że gdzieś tam kryją się żywi. Więc szukamy... Każdy szuka sam...

Piotr z niedowierzaniem popatrzył na pilota, mówiąc:

– Jesteśmy zespołem.

– Niczego nie rozumiesz – Alberski złapał mechanika za ramię – ktoś kto raz ruszy na szlak gwiazdny nie potrafi już żyć na Ziemi. To jest jak narkotyk. Nazywamy to „wirusem nieskończoności” lub „wolności”. Dochodzi jeszcze gorączka poznania, która świetnie neutralizuje nostalgię, nie mówię o cudach natury,

o których nawet trudno opowiadać – brak słów. Wszystko razem powoduje, że człowiek prze na ślepo do przodu i doprawdy trzeba być z kamienia by wrócić... A Ziemia nie lubi „kiedyś kiedy”...

Piotr uśmiechnął się smutno.

– To uległo zmianie. Nikt już nie pyta – kiedy poleciał, kiedy wróci? Mamy nowe-stare hasło – ekspansja. Zaludniamy co się tylko da, a wiemy, że planet w Układzie Sol jest raczej mało...

– Tak jak doświadczonych pilotów, mających wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, by nie ryzykować życia i zdrowia dla pomyślnych idei, nowych proroków i ideologów ze sztabu lub Instytutu.

Tym razem Piotr nic nie odpowiedział.

Doszli do służy i wąską kładką, zda się zawieszoną w nicości, przeszli na pokład Mezona. Jedna z kobiet stojąca u wejścia podała Alberskiemu minimonitor.

– Ziemia nie może doczekać się pana, komandorze! – z powagą uniosła dłoń do skroni.

Już go nie zdziwiło, ani to że oni wiedzą kim jest istotnie, ani to, że ten stary lis, admirał Kalina powiedział przed odlotem: – Wręczam ci nominację na komandora, nie dlatego, że masz kilka specjalizacji, ani nie jest to awans w uznaniu szczególnych zasług... Dostajesz go na wyrost, rozumiesz?!

Nie powiedział mu wtedy: Kalina, nie kupisz mnie. Jeżeli kiedykolwiek powtórnie ruszę do gwiazd, to zrobię to na własną odpowiedzialność i z własnej nieprzymusowej woli; tego mu nie powiedział, mimo że byli kolegami jeszcze z czasów szkolnych.

Ale teraz mógł to powiedzieć.

– Czy nadal podtrzymujesz pytanie? – głos spikera był dziwnie łagodny. Zupełnie tak jak by on: komandor pilot-astronawigator klasy Outer, Artur Alberski był małym Arturkiem, któremu trzeba delikatnie wytłumaczyć po raz pierwszy jak rodzą się dzieci i że bocian to bujda.

– Może tak, a może nie – uśmiechnął się. Teraz dopiero mają zgryz, jak przyjąć takie nieformalne określenie.

– Pragnę złożyć rezygnację – powiedział – oświadczam oficjalnie, że będąc w wieku em-

rytalnym, proszę o skreślenie z ewidencji pilotów i przeniesienie w stan spoczynku z zachowaniem prawa do wykonywania pracy w obranym kierunku specjalizacji zawodowej.

Skończył już czterdzieści lat i miał prawo do natychmiastowej emrytury. Wypowiedzenie złożone ustnie było równie ważne co pisemny raport.

– Ależ... – spiker przyzwyczajony do różnych dziwactw bractwa pilotów, tym razem stracił rezon. – Zwariowałeś? – wykrztusił, niespokojnie naciskając swoje kontakty łączące go ze sztabem i Instytutem.

– Wszystko jest względne... ale nie alarmuj „góry” bo już jest po fakcie. Oni chcieli mieć kogoś doświadczonego na tym statku, pytanie tylko czy ja bym się zgodził. Więc przy jednym ogniu sprytnie upiekli dwie pieczenie. Tester został poddany testom, rozumiesz? A ćwiczeni wyćwiczyli ćwiczącego. Niezłe, co?

– Współczuję i gratuluję, komandorze! – na ekranie pojawiła się twarz Kaliny.

– Jeśli chcesz zostać na Mezonie, to nie mam nic przeciwko temu.

Alberski zaoponował:

– To nie zależy od mojego... – przerwał, widząc na twarzy Piotra Hawela uśmiech ulgi.

– Do licha, mów jasno i wyraźnie... – Kalina wyraźnie był zły.

– Słowa. Co to są słowa? Liczą się tylko czyny – Alberski oddał minimonitor spoważniałej kobiecie i wymachując zdjęciem rodzinnego domu, ruszył w głąb Mezona.

W jasnej salce recepcyjnej siedzieli ludzie. Zmęczeni, postarzali, ale o oczach pełnych blasku i siły.

Zatrzymał się w drzwiach, przepuszczając kobiety i Piotra. Kiedy miał ich już wszystkich przed sobą, chciał krzyknąć: – Załoga baczność! Ruszamy do gwiazd! – ale nie zrobił tego.

Zupełnie zwyczajnie, cichym głosem, powiedział:

– Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, to... – westchnął. – Och, po prostu, będę wdzięczny jeżeli przyjmiecie mnie do swojego zespołu...

Milcząc, uśmiechali się do niego i właściwie nie potrzeba było słów. Należał do nich.